



CZY PAMIĘTASZ JAK TO BYŁO?

Scena Lalkowa imienia Jana Wilkowskiego w Kwidzynie

„Czy pamiętasz jak to było?”



Czas już rozwiązać iluzję o bez troskliwym dzieciństwie. Życie dziecka jest pełne trosk, na które reaguje ono silniej, gdyż nie wyrobiło jeszcze w sobie tego uodpornienia, jakie posiadają dorośli ludzie (...). Że troski dziecka są poważne i sprawiają mu dotkliwy ból świadczy tak częsty płacz dziecka. Sielsko-anielskie dzieciństwo jest coraz rzadszym zjawiskiem. Brutalne życie z jego twardą rzeczywistością zakłóca świat marzeń dziecięcych i napędza go troską, która przeraża dziecko i zadaje mu ból (...). Trzeba dziecko zrozumieć, trzeba wczuć się w jego psychikę, poznać troski, zmartwienia i radości oraz postarać się o umilenie i ułatwienie życia tej przyszłości naszej.

*Janusz Korczak*

- Kiedy byłam,
- Kiedy byłem małym dzieckiem,
- Gdy mówiłam, że nie lubię,
- Ja wrzeszczałem nie chcę, nie chcę

Bo rajstopki pod spodenki to tortura,  
Po kozuchu na kakałku cierpnie skóra,  
Drzemka zaraz po obiedzie straszna nuda,  
A zmuszanie do jedzenia mózgu udar.

Za mamusię, za tatusia, za babunię, za dziadziusia, za tłum ludzi,  
I tak w kółko, nieustannie, kiedy wreszcie im się znudzi.

- Obiecałam wtedy sobie,
- Uroczyście przysięgałem

Że pamiętać będę chwile, które budzą w dzieciach grozę  
I że nigdy nie usłyszę, czy ja muszę? – Choć nie znoszę.

*Dorota Anna Dąbek*

## KASZKA

Nagle usłyszałem gniewny głos babci Agi.

– Pij kaszkę póki ciepła! Całą, do dna. Od świtu się tu krzątam, mleka nie było, musiałam iść, to teraz mi tu nie marudź. PIJ!!!

Podnoszę kubek do ust. Już sam zapach kaszki i mleka powoduje mdłości. Wiem że będzie mi niedobrze aż do trzeciej lekcji. I znowu ciągle uwagi

– UWAŻAJ

– SKUP SIĘ

– NIE GAP SIĘ W OKNO

– CO PRZED CHWILĄ POWIEDZIAŁAM?

Znowu zaczynam się bać.

Pierwszy łyk, BOŻE, i...

Obudziłem się. Uff.

Patrzę na budzik. O nie znowu zasnęłam.

Szybko się ubieram. Majtki pewnie brudne, ale co tam byle szybciej.

Skarpety ciężko ubrać, ręce mi się trzęsą ze zdenerwowania. Boże, nie odrobiłem matmy, a to pierwsza lekcja.

Może lepiej się spóźnić, albo wagary. Nie nie nie więcej nie mogę, nie nadrobię i te wrzaski.

Spodnie, koszula. Gdzie buty? GDZIE BUTY!!!!?

Spokojnie, spokojnie. W przedpokoju.

Skradam się. Cicho. Ciii.

Są buty. W kuchni nikogo nie ma. Może się uda.

Ostrożnie ubieram buty. Dopadam do drzwi. Udało się. Kuchnia nadal pusta. Dziś nie będzie kaszki i kanapek!!!

O nie. Książki, zeszyty, buty na zmianę!!!

Trzaskają drzwi od łazienki.

Nie zdążę. Trudno. Jakoś się wytłumaczę. Byle nie kaszka.

Wybiegam z mieszkania. Szybko po dwa stopnie w dół. Brama. Ulica.

Biegnę.

Jak się nie spóźnię na lekcje to może nie zauważą.

Dadzą spokój.

Szybciej, szybciej.

Skąd ta zadyszka?

Księgarnia. Cholera muszę się zatrzymać i pogapić na książki.

Trudno. STOP. Patrzę.

Jaka ULGA.

Mam czterdzieści lat.

Przyjechałem odwiedzić mamę.

Mam fajną pracę. I NIGDY ŻADNEJ SZKOŁY. ŻADNEJ KASZKI.

Nagle trochę smutno, ale tylko trochę, bo babcia nie żyje od naprawdę wielu lat.

Wracam do domu. HA HA.

## RAJSTOPKI

Czy Ktoś z Was ma ten sam problem?

Może doradzicie Kochani co robić? Jak tylko przychodzą chłodniejsze dni staję przed dylematem wkładać czy nie. To doprawdy frustrujące. Moja czterolatka trochę grymasi, ale liczy się tylko dobro dziecka. Pomóżcie. Pozdrawiam.

– Tylko nie to! Nie jestem w stanie tego znieść. Na samą myśl cierpnie mi skóra. To straszne. Nie do wytrzymania. Pozbawione sensu i zupełnie do niczego nie potrzebne. Nie znoszę jak chwytają mnie za kostki i ściskają tak mocno, że krew odpływa z palców. Moje stopy stają się lodowate. Nie mogę nimi poruszać. Ograniczają moje ruchy i ledwo chodzę. Czuje się tak jakbym była słoniem. Czasem marszczą się jak obwarzanki. Wygląda to okropnie i nie mogę zginać kolan, albo zsuwają się podstępnie. Jestem przerażona, że któregoś dnia pociągną za sobą gatki i będę świeciła gołą pupą. Spaliłabym się ze wstydu.

Najbardziej nie lubię, gdy oblepiają moje nogi, szczypią, gryzą niemilosiernie. Cały czas się drapię. O niczym innym nie myślę, tylko o tym jak się tego draństwa pozbyć.

Nigdy nie wiem gdzie jest tył, a gdzie przód. Gdy nie trafię piją mnie w tyłek. Nie cierpię tego. Najbardziej nie lubię, gdy Tata chwyta za gumkę o tu w pasie i podnosi mnie do góry jakbym była zakupem, który trzeba wcisnąć do siatki. Jest przekonany, że pomaga mi w szybszym wciągnięciu tego paskudztwa. To ma być niby zabawne. Wcale mi nie do śmiechu. Przestań!

Nie znoszę tego koloru i tego plastikowego zapachu, szelestu, dotyku ... fuj, brrr, okropieństwo. Albo te durne wzorki. Można dostać oczopląsu. Co to ma być?!

Po praniu potrafią się tak rozciągnąć, że mogłabym razem z moją starszą siostrą wleźć do jednej nogawki. Innym razem kurczą się, że nawet moja lalka MIMI nie chciałaby tego nosić. Potrafią też puszczać oczko, wtedy na ratunek przychodzą nici i nowy szef np. na pięcie powoduje, że mam ciągle otarte piety i muszę chodzić w plastrach.

Czasem protestuję. Kiedy już nie mam siły wrzeszczeć, wierzgać ( wierzgać nie mogę, przecież krępują moje ruchy ) czy ryczeć...padam jak długa. Boli okropnie. Ja się jednak nie poddaję. Czekam na efekt mojego poświęcenia. Na kolanach pojawiają się wielkie zakrwawione dziury, ból czasem jest nie do zniesienia. Jedyna pociecha to to, że nadają się już tylko do wyrzucenia. Mam zawsze cichą nadzieję, że nie znajdzie się kolejna para z którą znowu będę musiała walczyć. Rajstopki pod spodenki ?! Co za dorosły to wymyślił.

*Dorota Anna Dąbek*

## **SPANIE**

*Ziewanie*

Cicho

Ciemno

Cicho

Ciemno

Cicho

Ciemno

Cicho

Ciemno

*Ziewanie*

skrzyp, oj

bęc, rrrr

puk, uuuf

Potrzebuję trochę światła

pstryk

dobrze

1,2,3,4,5,6....

nic

*Ziewanie*

spać, spać, spaść, zapaść, paść, aś, ciii

*(wylaniają się odgłosy meczu i pokrzykiwania kibica,  
powoli, stopniowo narastają ale jakby zza ściany)*

Tato

*mecz*

TATO

*mecz*

TATO!!!

– Cicho, śpij.

*mecz*

TATOTATOTATOTATOTATOTATOTATOTATOTATOTATO

– Uspokój się, zaraz przyjdę

*mecz*

aaaaaaaAAAAAA!!!!

– zaraz, zaraz. NO WAL NO, szlak.

*mecz*

AAAAAAAaaaaaaa, na pomoc!

– no już, już. NO, NO, cholera patałach.

*mecz*

Nie. Tato szybko!

– No moment, zaraz, już, już. Jaki spalony, jaki spalony. SĘDZIA GNÓJ, SĘDZIA GNÓJ!!!

*mecz*

AA  
AA  
AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!!

przerwa w meczu

– No co chcesz? Pić? Bajka? Zapalić ci światło? Zimno ci? No co?

*mecz*

– Gadaj szybko! Już!

*mecz*

– NOOOOO!!

Zsikałem się

– Ja cię gówniarzu...

odgłosy meczu odpływają

Co? Co? A.

Co to, zsikałem się. Cholera!!!

Cholera, zsikałem się i...

*Ziewanie*

*Maciej Dużyński*



## ZUPA

Moje pierwsze wspomnienie... hm.

Mam 10 lat i jadę pierwszy raz w życiu na kolonię. Trochę byłem zaniepokojony. Nowe miejsce, nowi koledzy, daleko od domu, bez mojego ulubionego miśka, któremu się zwierzałem ze swoich kłopotów... nie nie wstydzę się, mam, właściwie mamy go do dziś. To mój przyjaciel z dzieciństwa, zresztą teraz należy do mojego syna. Ja dostałem go od mojego ojca. Jest w naszej rodzinie od ponad stu lat. Siedział u mojego dziadka w plecaku i przemierzył z nim cały świat, podczas jego wojennych wędrówek.

Teraz ja odbywam moją pierwszą wyprawę – nad morze. Ciekawe czy się z kimś zaprzyjaźnię. Jakoś dam radę. Mówią, że jestem bardzo towarzyski. Jednego się tylko obawiam. Stołówki. Może nasza Pani będzie wyrozumiała i wytłumaczy jej na czym polega mój problem.

Ciekawe czy zrozumie. Babcia ogarnęła. Z mamą był kłopot, bo jak zwykle wysyczała.

– Nie marudź... ale po wielu negocjacjach jakoś doszła do rozumu.

Krótko mówiąc nie znoszę zup. Nie tak zwyczajnie nie lubię, po prostu nie mogę przełknąć pływających w niej warzyw. Te rozgotowane rośliny wpływają na mój umysł tak negatywnie, że jest mi nie dobrze i nie potrafię nad tym zapanować. Muszę jakoś rozwiązać ten problem.

Wiem, podam pani kucharce gotową recepturę jak ma przygotowywać dla mnie zupy. Najlepszy przepis mojej Buni. Bierzymy miseczkę, chochlę i małe sitko a następnie precedzamy. Powstaje klarowny wywar, który jestem w stanie przełknąć.

– Moje zupy Ci nie smakują?!

– Proszę Pani, to nie o to chodzi, ja tylko, nie mogę...

– Co ty sobie smarkaczu wyobrażasz! To nie jest restauracja... mam do wykarminienia setkę dzieciaków... nie mam czasu na rozpieszczonych maminsynków... znalazł się jaśnie pan hrabia.

– Nie chciałem nic złego, ja tylko... a zresztą poradzę sobie inaczej.

Może moja Pani zrozumie. Jest nie wiele starsza od nas. Ma jakieś z dwadzieścia dwa lata, to pewnie jeszcze pamięta jak to jest czegoś naprawdę nie znosić. Uśmiechnąłem się najpromienniej jak tylko potrafiłem, przycesałem fryzurę i dalej z prośbą do naszej opiekunki.

– Rozumiem, kochanie twój problem, ale jestem odpowiedzialna za Wasze zdrowie podczas pobytu tu na kolonii i nie mogę pozwolić byś wpadł w jakąś chorobę. Idź teraz na świeże powietrze i pograj z kolegami w piłkę. Jak poczujesz zmęczenie nabierzesz ochotę na jedzenie.

Nie, nie, nie... dlaczego nikt mnie nie rozumie.

Wiem pielęgniarka to jedyny mój ratunek. Udam, że mam alergię na warzywa.

– Pierwsze słyszę – nie mój drogi. Jak nie masz apetytu dostaniesz ode mnie specjalny środek i zaraz wrócisz do normy.

Wląda mi do gardła jakieś świństwo i kazała wracać do swojej grupy.

Idąc przygnębiony korytarzem w kierunku naszej sali nagle olśniło mnie. Wiedziałem już co zrobię. Podczas popołudniowego spaceru do nadmorskiej wsi, w kiosku kupiłem notesik i udając, że bawię się w kulinarnego dziennikarza przeprowadzałem wywiady z moimi kolegami na temat tego, jakie warzywa najbardziej lubią. Wpisywałem nowo zdobyte informacje do magicznego zeszytiku... Ania marchewka, Staś buraczki, Krzysiek ziemniaki, Marysia brukselka, Weronika ogórki itd. Byłem uratowany.

Przy kolejnym obiedzie chętnie rozdawałem swoje jarzyny. Wyglądało to trochę dziwnie i zabawnie zarazem. Ustawiała się przede mną kolejka z talerzami i tak znienawidzone przeze mnie warzywa lądowały w miskach kolegów.

Pani nie protestowała widząc, że wszystko znika, z naszych talerzy.

Pomyślałem wtedy, najważniejsze to dobrze kombinować. Dam sobie w życiu radę.

Zupy już dzisiaj nie są moim koszmarem. Żona świetnie gotuje. Najbardziej jednak smakują mi warzywa surowe. Takie jak stworzyła je Natura.

*Dorota Anna Dąbek*

## LANIE

Dlaczego?

Opowiem ci DLACZEGO.

Miałem 8 lat. Byłem najmniejszy w klasie.

A największy był Stasiak. I najgłupszy. I prymitywny.

Obu nam podobała się Kasia. Była piękna, mądra i delikatna. A Kasi podobałem się tylko ja.

Więc Stasiak robił wszystko żeby Kasia przestała się mną interesować.

Co zresztą udawało mu się co raz częściej.

Dziś wiem dlaczego.

Był głupi ale sprytny. Wiedział że jak mnie upokorzy to Kasia nie pozwoli mi się odprowadzić do domu i zanieść jej teczkę. Nikt nie lubi kiedy się z niego śmieją albo krzyczą: KASIA KOCHA KIEPA!!! KASIA KOCHA KIEPA!!!

Kiepa, tak wołał na mnie Stasiak. Wszystkich to bardzo bawiło, nawet nauczycieli. Kasi trzeba przyznać że śmiała się tylko z innymi. Kiedy nikt nie widział patrzyła na mnie tymi swoimi wielkimi oczami, jakby mówiła: no zrób coś.

Kasiu ale co? Byłem bezradny. Kiedy czasami udało mi się coś błyskotliwie odpowiedzieć Stasiakowi, uśmiechała się tylko Kasia ale tylko do momentu gdy dostawałem w łeb od przygłupa. Podstawiał mi nogę, kładł pinezki na krzesło, darł zeszyty.

No i kiedyś w świetlicy, kiedy Pani wyszła W BARDZO WAŻNEJ SPRAWIE i kazała Stasiowi pilnować żeby nikt nie rozrabiał stało się tak.

Kasia podeszła do mnie i już chciała coś powiedzieć ale ten baran podbiegł do niej i zaczął ciągnąć ją za warkoczki i wrzeszczeć: KASIA KOCHA KIEPA!!! Jak zobaczyłem łzy w jej oczach, coś we mnie wstąpiło i walnąłem go krzesłem. Nie oddał.

Patrzył zdziwiony.

W końcu powiedział: a tak potrafisz?

Z całej siły walnął pięścią w drzwi aż poleciała farba. Raczej nie miałem szans a Kasia patrzyła wielkimi oczami. Dobra ale łeb mam twardy. Huknąłem czołem aż w drzwiach zrobiła się dziura. Może bym zemdlał ale Kasia tak na mnie popatrzyła, oj.

A tak Stasiu potrafisz? Powiedziałem.

No i wtedy weszła Pani śmierzdząca papierochami i z miejsca zapytała: Stasiu kto to zrobił?

A ten kretyn pokazał na mnie i powiedział: KIEP.

Pani spytała: Kiepa, to prawda?

Dumnie odpowiedziałem, że Tak.

A teraz opowiem ci co powinno być dalej.

Kasia powinna powiedzieć: skarżypyta. On ma na imię Jacek!

A następnego dnia kiedy twój dziadek został wezwany do szkoły i dowiedział się że jego syn, czyli ja, jest chuliganem i wandalą, i że ma zapłacić za drzwi powiniem zapytać: A gdzie pani była gdy mój syn uderzył głową w drzwi tak że zrobiła się w nich dziura. I czemu nikt nie wezwał pogotowia?

A było tak:

Stasiek tego dnia odniósł Kasi teczkę. A nazajutrz twój dziadek, bez słowa, zapłacił za drzwi a w domu dostałem po tyłku.

I DLATEGO dostaniesz dzisiaj szlaban na komputer za to że wywalileś koledze trampki do stawu. I nie chcę wiedzieć DLACZEGO. A z pretensjami do dziadka.

*Maciej Dużyński*

## KOŻUCH

Nazywam się Zdziś Kożuchowski i mam sześć lat. Od urodzenia mieszkam z rodzicami w malowniczej wsi, co się zwie Kożuchowo. Ma ona jedną niesamowitą właściwość. Niezależnie od pory roku, ludzie chadzają tutaj w kożuchach. Mama, tata i ja również. Nie wiem, jak inni, ale nasza rodzinka dostosowuje grubość ubioru w zależności od pogody. Być może nie jesteśmy wyjątkami. Pewne jest to, że noszenie kożuchów jest naszą niezmienną tradycją od pokoleń.

Raz do roku w Kożuchowie i okolicach bardzo hucznie obchodzony jest jeden szczególny dzień. Jak się za pewne domyślicie, owo święto ma ścisły związek z tym, co otacza nas na co dzień. Zgadza się! Od niepamiętnych lat dzień pierwszy września określany jest, jako „Dzień Kożucha”. W tym czasie absolutnie wszyscy mieszkańcy, od oseska aż po sędziwego staruszka, zrzucają swoją powszednią garderobę na rzecz bogato i fantazyjnie zdobionych kożuchów. Prócz zmiany stroju obowiązuje jeszcze jedna rzecz, która do niedawna stawała mi dosłownie kością w gardle. Picie mleka było, jest i będzie jednym z najważniejszych elementów naszej kultury. Praktycznie przy każdym posiłku stałym gościem na kożuchowskich stołach jest szklaneczka ciepłego białego napoju. Pierwszy września o tyle się różni od przeciętnego dnia, że przez całe dwadzieścia cztery godziny pije się samo mleko.

Zapytacie, skąd bierzemy aż tyle mleka, że starczy z nawiązką dla wszystkich mieszkańców nie tylko samego Kożuchowa, ale i całej okolicy? I to nie tylko na odświętny dzień lecz bez mała cały rok! Otóż nasza kożuchowa kraina od zawsze uchodziła za mlekiem płynącą ze względu na największy w świecie zakład mleczarski. Pracują tam praktycznie wszyscy. Nawet lekarze i nauczyciele. Jedni na stałe, inni dorywczo. Nikogo jednak ta praca nie omija. Moi rodzice już od dawna tam pracują i mnie również to czeka.

Wybaczcie, ale muszę wrócić do wcześniejszego tematu, bo za bardzo się rozwinąłem i może mi wszystko umknąć. O czym to ja... Aaa, no tak! Wspomniałem, że nie znoszę mleka. Może nie całkowicie chodzi o nie samo, ale o to, co na nim pływa. Tak, jak uwielbiam, gdy rodzice szyją dla mnie, kupują i stroją mnie w różne różniste wymyślne kożuchy, tak całkowicie obrzydza mnie kożuch na mleku. Właściwie od urodzenia kręcę nosem i strzelam focha na widok zasnutej kożuchem taflki mleka w szklance ku wielkiemu rozczarowaniu rodziców. Bardzo im współczuję, ale nie potrafię się przełamać. Nie inaczej było i w to święto. Rodzice byli już do tego stopnia zagniewani, że cały następny dzień kazali mi siedzieć w swoim pokoju. Nie byłaby to może jakaś mocno dotkliwa kara, ale w ramach jej zaostrzenia pozbawili mnie komputera, telefonu, a nawet telewizora, którego i tak bardzo rzadko włączałem. Zostawili mi tylko kilka książek o zdrowotnych właściwościach kożucha na mleku. Raczej niechętnie, ale z czystych nudów przeczytałem po dwa razy każdą z nich.

Mocno znużony tą mleczną edukacją poszedłem spać nieco wcześniej, niż zazwyczaj. Pojęcia nie mam, czy to na skutek przydługiego ślęczenia nad książkami, czy ze względu na nieciekawą pogodę za oknem, od razu po zmrużeniu oczu zaczęło mi się coś śnić. Znalazłem się pośrodku olbrzymiej, pozbawionej drzew

polany zupełnie samiuteńki. Niebo było mocno zachmurzone, a ja ubrany jedynie w sandałki, letnie spodenki bez kieszonek i bezrękawnik. Nagle schłodziło się i lunął potężny deszcz, jakiego jeszcze nie widziałem. W pierwszej chwili ogarnął mnie strach i zacząłem biec byle przed siebie i gdzie nogi poniosą. Po dłuższym czasie owego bezładnego sprintu przerażenie zastąpiło zmęczenie i smutek. Wyraźnie zwolniłem, coraz częściej rozglądając się za chociażby małym krzaczkiem, pod którym mógłbym się schronić. Nigdzie dookoła żywej duszy i cienia jakiegokolwiek roślinki.

Zrezygnowany wszechobecną pustką, przemoczony do suchej nitki i przemarznięty do szpiku kości człapałem coraz wolniej. W końcu stanąłem całkowicie i zamknąłem na chwilę oczy. Otworzyłem je dopiero wtedy, gdy poczułem, że deszcz nieco zelżał. Niedowierzając, ujrzałem w oddali ogromny dąb. Bez chwili zastanowienia ruszyłem z kopyta w jego stronę. W miarę, jak się do niego zbliżałem, zauważyłem wyłaniającą się postać w długim płaszczu i jakieś przedmioty. Gdy nareszcie dotarłem, owymi przedmiotami okazały się solidnie wykonane stolik kuchenny, zaś na nim stała sobie średnich rozmiarów gliniana miseczka z wygrawerowanym godłem naszej miejscowości. W miseczce czekało mleko, a na jego powierzchni majaczył dorodny kozuch. Wysoka postać w długim płaszczu początkowo stała do mnie tyłem. Po chwili odwróciła się do mnie. Nie dołąłem dojrzeć twarzy, gdyż była ona skryta pod sporawym, grubym kapturem. W momencie, gdy nieznajomy zrzucał kaptur z głowy, deszcz jakby się wzmógł i do tego zerwał się wiatr, ale tylko na chwilę. Nie powiem, przeraziłem się tego momentu o wiele bardziej, niż beznadziejnej pustki na początku. Zupełnie niepotrzebnie.

Spod kaptura wyłoniła się pogodna i dobrotliwa twarz siwiejącego mężczyzny o wnikliwym spojrzeniu. Starszy tajemniczy pan zbliżył się do mnie i uśmiechnął. Po chwili spytał:

- Jak się nazywasz chłopaku i co cię trapi?
- Jestem Zdzisław Kozuchowski i zgubiłem drogę do domu – odpowiedziałem na jednym wdechu.
- To, że się zgubiłeś Zdzisiek, wiem akurat doskonale. Ale zdaję się, że tak naprawdę martwi cię coś zupełnie innego i ma to na pewno związek z rzeczami, które stoją nieopodal.
- Mmmożliwe. A kim pan jest i jak się nazywa? – zapytałem nieco zakłopotany.
- Zwą mnie Laktozof. Jestem mlecznym magiem i założycielem Kozuchowa.
- O kurczę! Nieźlee... – nie umiałem ukryć swojego zdziwienia.
- Znam pewien sposób, dzięki któremu odnajdziesz właściwą drogę do domu i rodzice nie będą się już o ciebie obawiać.
- Jaki to sposób panie Laktozofie? - odparłem z zaangażowaniem.
- Może ci się nie spodobać, ale na pewno posłuży twemu zdrowiu. Poza tym uważam, że to rozsądna cena za powrót do domu. Wiem, że pierwsze, co zauważyłeś w cieniu drzewa, to stolik i miska pełna mleka. Zjedz wpierw kozuch, a następnie wypij je do dna. Wtedy udzielę tobie pomocy.

Lekko skonsternowany i zniesmaczony w końcu zebrałem się w sobie i odpowiedziałem:

– Nno dobrze... Niechaj w końcu będzie. Mam już naprawdę dość tej okropnej pogody!

Pod czujnym okiem mlecznego czarodzieja, z wielką niechęcią, ale jednak jakoś zabrałem się wpierw za kozuch, a później za chleptanie mleka. Bardzo długo mi zeszła ta operacja, trzeba przyznać. Po wszystkim poczułem pewnego rodzaju ulgę, a nawet pokrzepienie.

– Jestem z ciebie naprawdę dumny kolego Zdzisławie! Oto twa nagroda – powiedział uśmiechnięty od ucha do ucha Laktozof i zdjął swój ciężki, długi płaszcz. Chwilę później płaszcz zmienił się w przepiękny, podszyty ciepłym futerkiem kozuch.

– Jest twój. O rozmiar nie musisz się martwić, bo jest idealnie dopasowany. Doskonale chroni przed zimnem i wilgocią. Załóż go, a w mgnieniu oka zaprowadzi cię prosto do domu – zachęcił uśmiechnięty czarownik.

– Bardzo dziękuję panie Laktozofie! – odpowiedziałem równie uśmiechnięty i ochoczo założyłem podarunek.

– Bywaj Zdziś i niech ci będzie na zdrowie! – rzekł na pożegnanie czarodziej. Dosłownie chwilę po tych słowach obudziłem się i siedząc na łóżku bardzo długo się zastanawiałem.

Był wczesny poranek, ale rodzice już się krzatali. W końcu przerwałem medytację i popędziłem do kuchni. Akurat przebywali w niej mama i tata, więc poprosiłem:

– Mamo, ugotuj mi garnek mleka, ale tak, żeby był na nim jak największy kozuch, proszę.

Mama i tata spojrzeli po sobie zaskoczeni, jak nigdy dotąd. W końcu to mama pierwsza przerwała tę niezręczną pauzę i ugotowała mi cały garnuszek upragnionego białego napoju. Nie miałem najmniejszych oporów przed zabraniem się za kozuch. Co więcej, smakował mi tak bardzo, że aż smutno mi się zrobiło, gdy się skończył. Mleko wciągnąłem duszkiem, oblizując się przy tym ze smakiem. Uściskom i pochwałom od rodziców nie było końca. Czułem i dalej czuję dumę z tego powodu. Od dzisiaj spokojnie mogę siebie nazywać pełnoprawnym Kozuchowianinem!

*Michał Sebastian Melkowski*

## O KOŻUCHU W MLEKU

Już od dawna w tym się gubię:  
– czegoż, to ja, wciąż nie lubię?  
Chyba nie gotowanego mleka,  
lecz kożucha, co w nim czeka?

A odkryłem to już dawno  
gdy w przedszkolu nam podano  
mleko – jasne – że od krowy,  
lecz o smaku całkiem nowym.

Smak ten w gardle brzydtko dusił,  
któż do picia mleczka zmusił?  
pewnie pani przedszkolanka,  
pić to już z samego ranka?

A może kto inny zmuszał?  
– już nie będę tego ruszał!  
Morał z tego taki płynie:  
– kożuch złą sławą zasłynie!

*Antoni Tynda*



## O FRANKU I JANKU

Za pagórkami i za gajem  
żył był chłopiec z tatą wzajem  
Chłopiec miał na imię Franek  
– tata bywał sobiepanek !

Zrzędził, mędził posapywał,  
kiedy Franek dokazywał  
i pomyślał wtedy synek:  
Kiedy ja już będę tatą, to nie stanę się satrapą.

I płynęły sobie lata,  
Teraz Franuś już jest tata.  
Pamięć jednak jest zbyt krótka:  
– tata wrzeszczy: – Jaś, pobudka !!!

Właśnie synek zwał się Janek  
– był potulny, jak baranek.  
Franek beształ za byle co,  
dlań zabawa teraz hecą.

*Antoni Tynda*

## **RYMOWANKA O KOŻUCHU NA MLEKU**

Kożuch fuj!  
Kožuch ble!  
Kaźde dziecko  
dobrze wie!

Zupa mleczna –  
Dzieci zmora!  
Na koloniach  
I w przedszkolach.

Precz z akcjami:  
„Szlanka mleka”!  
Kožuch w mleku?  
Fe! Uciekaj!

Że wapń w mleku?  
Wielka bzdura!  
Propaganda!  
Awantura!

Jaki lubimy  
napitek i wikt?  
Dlaczego nie pyta  
nas nikt?

*Elżbieta Gardzielewska*

## **RZECZ O KOŻUCHU NA MLEKU**

Ble, fe, łe, a fuj...  
Kiedy kożuch mi się trafi  
Fe wołają moje flaki...  
Ble z ust mi się wrywa,  
puszę pawia czy wytrzymam.  
Łe rwie się kożuch w górę przełyku,  
a Babcia mówi jeszcze po łyku...  
Fu nie piję, puszcze kwasa,  
niech kożuch w moich wnętrznościach nie hasa !

*Barbara Drożdż*

Scena Lalkowa imienia Jana Wilkowskiego w Kwidzynie  
Projekt „Czy pamiętasz jak to było?”



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego



NARODOWE  
CENTRUM  
KULTURY



**Kwidzyn**  
*Moje Miasto*

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Narodowego Centrum Kultury: Kultura – Interwencje. Edycja 2023

